

Czy własność jest mitem?

Autor: **Anthony de Jasay**

Źródło: libertyfund.org

Tłumaczenie: **Tomasz Kłosiński**

Tłumaczenie artykułu, który pierwotnie został opublikowany w 2003 r. na łamach „Library of Liberty and Economics”, a następnie ukazał się w książce Political Economy, Concisely: Essays on Policy that does not work and Markets that do, za zgodą „Liberty Fund”

Ekonomiści powinni poświęcić więcej uwagi teoretycznej obronie własności niż czynią to obecnie. Istotność solidnej obrony wolności posiadania, wedle mojego zdania, nie polega tylko na tym, że własność jest niezbędna dla funkcjonowania rynków (choć jest to oczywiście prawdą). Ale raczej chodzi o to, że jeśli własność jest nienaruszalna, stanowi barierę dla redystrybucji, a przynajmniej sprawia, że redystrybucja wygląda wątpliwie z moralnego punktu widzenia. Redystrybucja jest w centrum polityki i ekonomii państwa opiekuńczego. Koncepcja polityki jako czegoś, co pochodzi z innego źródła niż łaska państwa, jest obecnie energicznie atakowana właśnie po to, aby sprawić, by redystrybucja wyglądała na zgodną ze sprawiedliwością, z poszanowaniem „praw”. Jak twierdziłem w [poprzednim artykule](#), Locke, rzecz jasna wcale tego nie chcąc, uutorował królewską drogę dla tych ataków na wolność posiadania. Pewna poważnie odbierana rozprawa naukowa traktuje obecnie naszą ideę „mojego” i „twojego”, jako mit¹. Dlaczego tak robi i czy to jest w porządku?

¹ Przykłady: John Christman, *The Myth of Property: Toward an Egalitarian Theory of Ownership*, Oxford University Press, Oksford 1995; Liam Murphy i Thomas Nagel, *The Myth of Ownership: Taxes and Justice*, Oxford University Press, Nowy Jork 2002); oraz (pod mniej wojowniczym tytułem) Jeremy Waldron, *The Right to Private Property*, Clarendon Press, Oksford 1988.

Teoria własności Locke'a, nawet w osłabionej wersji zaproponowanej przez Roberta Nozicka², nieuchronnie skazuje własność na nieprawowitość. Jeśli wystarczająco dużo i do tego nie gorszych dóbr trzeba zostawić innym, to nikt nie może zachować własności wyłącznie dla siebie samego.

Oczywistym sposobem uniknięcia tej pułapki jest niepopadanie w arbitralny osąd — na granicy intelektualnego blefu — że znajdując wartościowy przedmiot, znalazca pozbawia innych szansy znalezienia go. Ten osąd przyznaje wszystkim jakąś pretensję do wszystkich nieodkrytych zasobów oraz obarcza ewentualnego właściciela długiem wobec wszystkich. Wprost przeciwnie, zasada „kto pierwszy, ten lepszy” nie implikuje żadnego osądu, ale stwierdza fakt, że choć inni mogli znaleźć obiekt, to go nie znaleźli, a właściciel, który go znalazł, nie jest im nic winny. To jest logika leżąca u podstaw teorii własności Davida Hume'a³, która zaczyna się od tego, co on nazywa „pierwszym zasiedzeniem” i do którego dodaje „długie zasiedzenie” (s. 587). Wszystkie prawdopodobne teorie własności aż do dnia dzisiejszego wpisują się w Hume'owski schemat, chociaż większość teoretyków zdaje się nie zdawać sprawy z tego faktu.

Hume w przypisie swojej książki (s. 584) odrzuca Locke'owski zamiar uzasadnienia własności przez „złączenie” czyjeś pracy z zewnętrznym zasobem i nie zwraca uwagi na klauzulę „pozostają jeszcze dla innych nie gorsze dobra wspólne”. Tworzy on swoją teorię w dwóch krokach. Najpierw ustala prawomocność. Społeczeństwo kształtuje się w wyniku „pierwszego przydziału” własności do „obecnego posiadacza” (s. 582). Ten moment jest decydujący — reszta jest już kwestią dobrowolnych transakcji. Ponieważ „przy rozdziale własności między ludzi nie powinno nigdy wchodzić w rachubę, czy to jest wygodne i odpowiednie (...)” (s. 594). Sędziowie moralności i efektywności nie dostają żadnej roli do odegrania. Oczywiście, „stałość posiadania” nie jest niespójna z jej „przekazaniem za zgodą właściciela”, np. w wyniku klasycznych sposobów jak sprzedaż, podarunek czy spadek. Dystrybucja własności wynikająca z tego korzystania z wolności właścicieli odpowiada ideałowi

² Robert Nozick, *Anarchia, państwo i utopia*, przeł. P. Maciejko, M. Szczubiałka, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2010.

³ David Hume, *Traktat o naturze ludzkiej* (1739), przeł. Cz. Znamierowski, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2005, księga III.

sprawiedliwości. To wszystko jest dobrze znane i sprowadza się do rozumowego wyjaśnienia naszego głęboko zakorzenionego poczucia tego, co „moje” i „twoje”.

Jednak jego drugi krok jest daleki od bycia dobrze znanym — w istocie, w całkiem zdumiewający sposób antycypuje ostatnie postulaty w teorii społecznej: konwencja jako równowaga koordynacyjna, za pomocą której dobroczynne reguły zachowania kształtują się w całkowicie nieprzymuszony sposób. Niemal każdy będzie dobrowolnie przestrzegać reguł wspólnie uzgodnionego postępowania, ponieważ niemal wszyscy inni tak robią. Dostrzega on, że zaburzenia społeczne wynikają głównie z tego, że dobra charakteryzuje „łatwa zmiana ich miejsca oraz ich rzadkość” (s. 572). Brak bezpieczeństwa własności wystąpiłby wtedy, gdyby niemal wszyscy nie uznawali, że wzajemny szacunek dla własności prowadzi do dobrobytu, a złamanie tej zasady prowadzi do nędzy w „stanie odosobnienia i opuszczenia” (s. 571). Współczesnymi słowami powiedzielibyśmy, że konwencja polegająca na szanowaniu własności wyłania się jako najlepsze rozwiązanie oparte na stanie równowagi bez końca powtarzającej się niekooperacyjnej „gry” koordynacyjnej. Sytuacja jednostronnego wywłaszczenia innych nie może trwać bez końca, gdyż wzajemna przemoc jest mniej korzystnym stanem równowagi, zubażającym wszystkich.

Odkrycie przez Hume'a konwencji społecznej jako samodzielnie egzekwującego się środka ochrony uporządkowanej dystrybucji własności, formowanej przez dobrowolne transakcje, było mistrzowskim posunięciem. Ustala, iż porządek i dobrobyt nie zależą od rządu, bo reguły mogą wyłonić się i regulować zachowanie bez udziału twórcy reguł i ich wykonawcy. W jego słowach, których nigdy dość cytować: „stałość posiadania, przekazywania własności za zgodą właściciela i wypełniania przyrzeczeń. Te prawa więc są wcześniejsze niż władza” (s. 620).

Szkoła twierdząca, że „własność jest mitem” odsuwa na bok naiwne przekonanie, że majątek i dochód, które uzyskałeś w dobrowolnych transakcjach są twoje. Ostatnie, radykalne, często pomysłowe, a czasami zbyt pomysłowe, dzieło tej szkoły, autorstwa Murphy'ego i Nagela, uważa za zupełnie naturalne pytanie: „Jaka jest moralna podstawa prawa do zachowania zarobków?” (s. 7). To jest oczywiście pytanie z serii: [„Czy nadal bijesz swoją żonę?”](#) Oczywiście

na ciebie przesuwam ciężar wykazania, dlaczego wolno ci zachować swoją własność. Autorzy nazywają złudzeniem to, że dowód powinien spoczywać na tym, kto stara się pozbawić cię części własności, że istnieje dobry powód, by to zrobić. To rzekome złudzenie to mit własności. Celem książki jest jego rozwianie.

„Prawa” własności są dla Murphy’ego i Nagela tylko jedną częścią „konwencji prawnej” i muszą być ocenione przez „społeczeństwo” wraz z innymi częściami, szczególnie z wymaganiami fiskalnymi utrzymania porządku oraz sprawiedliwości „społecznej”, od których własność — jak zapewniają — zależy. Nie jest jasne, co należy rozumieć przez „konwencję prawną”, ani dlaczego ten dziwny termin jest używany zamiast prostego języka. W prostym języku istnieją przepisy prawa wymagające od rządu ochrony mienia przed wszystkimi poza nim samym oraz inne przepisy które pozwalają mu na zabranie mienia (za pomocą podatków dochodowych i innych), aby pokryć wydatki, których ponoszenie określają jeszcze inne przepisy. Wszystkie te prawa są rozstrzygane „bezpośrednio lub przez pośredników, za pomocą „wyboru społecznego”, który z natury rzeczy jest redystrybucyjny, faworyzując jednych kosztem drugich w gromadzeniu dochodów, alokacji wydatków lub w obu z nich.

Banalną prawdą jest fakt, że własność w rękach właścicieli i zarabiających jest tym, co zostało im zostawione po tych podatkach. Używając natomiast, nieco mgliście, pojęcia „konwencja prawna”, wydaje się, że Murphy i Nagel mówią o czymś więcej.

W rzeczywistości jednak nie mówią nic więcej. Ścisłej, poza banałem, że nie wolno zachować ci wszystkiego, co zarobisz, ze szczególnym uwzględnieniem ich obfitych odniesień do tego, jak to się ma do sprawiedliwości i wolności, to co mówią, to w dużej mierze zaciemnianie obrazu. Ich praca opiera się na dorozumianej fikcji, że opodatkowanie dochodu i majątku jest wynikiem sądu i oceny jednego umysłu — umysłu „społeczeństwa”. Wynik jest z konieczności konsensualny i bezkonfliktowy. Każdy chce poddać własność tym samym ograniczeniom, aby stworzyć i uzgodnić „zasady (...) które wszyscy uznają za moralnie zadowalające” (s. 42).

„Prawa” własności po opodatkowaniu są zatem albo kwestią woli jednego wymyślanego podmiotu albo kwestią tak samo wymyślanej nowej konwencji, która zastąpiła starą, pierwszy raz zidentyfikowaną przez Hume'a.

Jest nie do pomyślenia, że autorzy starając się wyjaśnić czytelnikowi, używają słowa „konwencja” w złej wierze. Ich swobodne i proste odnoszenie się do niego, może być wytłumaczone jedynie ignorancją, brakiem zrozumienia pojęcia konwencji. Jest ona wyłącznie spontanicznym wynikiem autonomicznych indywidualnych działań wzajemnego dostosowywania się. Legislacja — postanowienia narzucone przez politycznych zwycięzców przegranym, którzy są zobowiązani konstytucyjną zasadą poddaństwa do przestrzegania ich — jest obca dla idei konwencji.

Taka niespójność i twierdzenia brane z sufitu są wymuszone przez szkołę „własności jako mitu” ich niemożliwą do utrzymania postawą. Chcą redystrybucji. Chcą także potwierdzić, że rządzi nią sprawiedliwość. Jeśli twoja własność, rezultat wolnych transakcji, jest twoja, to niesprawiedliwe jest zabranie jej części. Dlatego też własność, widziana przez ciebie tak staromodnie, wydaje się być mitem Rzeczywistość ma być „konwencją prawną”, za pomocą której społeczeństwo osądza, jaką cześć własności w sposób moralnie uzasadniony można zachować. Tym sposobem sprawiedliwość jest uratowana.

Jak zwykle, Little⁴ przedziera się gładko przez tę ścianę bredni: „zabranie własności jednego, by dać ją innemu, jest pogwałceniem wolności tego pierwszego (...) Jeśli każde naruszenie praw jest niesprawiedliwością, to wynika z tego, że państwo musi być niesprawiedliwe na potrzeby jakiejś redystrybucji. Jest to niewygodne stwierdzenie, ale nie jest sprzeczne. To jest to, w co ja sam wierzę”.

Być może istnieją przeważające względy przemawiające za redystrybucją, choć ja takich nie znalazłem i nie wierzę w ich istnienie. Jednakże jeśli istnieją jakieś, to nie wynikają ze sprawiedliwości. One raczej zastępują ją. Byłoby zdrowiej i bardziej uczciwie intelektualnie stawić czoła temu faktowi i przyznać,

⁴ I. M. D. Little, *Ethics, Economics, and Politics*, Oxford University Press, Oksford 2002, s. 38.

że tak jest, zamiast próbować psuć teorię własności po to, by usprawiedliwić naruszenie własności, które „społeczeństwo” decyduje się uczynić legalnym.